

Tadeusz Boy-Żeleński: Czerwone i czarne

Jako umysłowość Stendhal tkwi korzeniami głęboko w XVIII wieku: racjonalizm Woltera i encyklopedystów, ateizm lubujący się w konceptach à la Chamfort na temat Boga, nienawiść do prawdziwych i mitycznych jezuitów dochodząca manii, oto cechy Stendhala, w których również dałoby się odnaleźć wpływy działające nań – pozytywnie lub negatywnie – w dzieciństwie – pisał Tadeusz Boy-Żeleński.

Na przełomie wieku XVIII i XIX widzimy dwie postacie będące zupełnym niemal przeciwieństwem: Chateaubriand i Stendhal. Jeden czerpie w dawnej Francji idee hierarchii, dyscypliny społecznej, powagi królewskiej, ale odświeża je tchem religijnego odrodzenia; drugi sięga w wiek XVIII swą bezreligijnością, materializmem filozoficznym, radykalizmem społecznym: ale i on spłaca swój dług romantyzmowi epoki: staje się piewcą energii, namiętności wcielonej w rapsod napoleoński. I w kolejach sławy tych dwóch ludzi cóż za różnica: Chateaubriand, bożyszczę za życia, dziś jakże opuszczony! Stendhal nieznany, może nawet z imienia, większości współczesnych, doczekał się w pół wieku po śmierci kapliczki skupiającej wybrane umysły.

**WYDAJ Z NAMI KOLEJNE NUMERY TEOLOGII POLITYCZNEJ W
2023 ROKU!**



Henryk Beyle (Stendhal) urodził się w Grenoble (w Delfinacie), w r. 1783, z rodziny urzędniczej ocierającej się o szlachectwo; matka jego miała nieco krwi włoskiej. Dzieciństwo chłopca było smutne. W siódmym roku traci ukochaną matkę; ojciec, odstręczający dla niego fizycznie i moralnie, nie umiał w dziecku obudzić miłości. Chłopiec chował się u dziadka, lekarza, epikurejczyka-filozofa w typie XVIII w. Był to w domu jedyny człowiek, o którym Beyle zachował dobre wspomnienie. Malec wzrasta samotnie, z rówieśnikami nie wolno mu się bawić: od otoczenia czuje się zupełnie odmienny; żyje sam i tylko sobą. To uczucie odosobnienia, różności od innych, będzie mu towarzyszyło całe życie. Było to w epoce Terroru, niezbyt srogiego zresztą w Grenoble; rodzina Beyle żywiła tajemne sympatie monarchiczne, dzieciak był całą duszą rewolucjonistą. Sam pisze, iż chwila, w której przyszła wiadomość o straceniu króla, dała mu „jedną z najwyższych radości w życiu”. Rodzina pokładała nadzieje w armii emigrantów, on patrzył z zazdrością na piękne pułki dragonów ciągnące do Włoch.

Wyrwać się z Grenoble — której pamięć będzie mu zawsze nienawistna — to jedyne marzenie Henryka. Sława, a przez tę sławę miłość, oto jego ideał od wczesnej młodości. W tym celu studiuje żarliwie matematykę,

w której kariera Bonapartego ukazała młodzieży francuskiej drogę do wielkości i sławy. Jakoż uzyskuje to, iż w 1799 r. rodzina wysyła go do Paryża dla dalszych studiów.

Przybywa opatrzony listem polecającym do krewnych Daru. Pan Daru był to surowy i suchy starzec, którego młody Beyle obchodził z daleka i z uszanowaniem. Starszy jego syn, Piotr Daru, był generalnym sekretarzem w ministerium wojny; później, jako hrabia Daru, miał się stać jednym z najczynniejszych pomocników Napoleona. Pierwsze wrażenie Paryża było nieszczerzone: rozczarowany, iż owe piękne chimery, które sobie roił, nie wyciągają doń ramion, chłopiec błąka się smutny i beczynny. (Dodajmy tu, iż Beyle był krępy, brzydki, jakkolwiek brzydotę jego okupowała żywość i oryginalność fizjonomii; był przy tym w stosunku do kobiet bardzo nieśmiały mimo donżuańskich teorii, które tworzył sobie całe życie). Wreszcie, rozchorowuje się. Rodzina Daru bierze go do siebie, a Piotr umieszcza go w swoim biurze.

Naraz w r. 1800 radosny zwrot: bracia Daru, powołani do Włoch do armii Bonapartego, polecają krewniakowi, aby pośpieszył za nimi. Siedemnastoletni chłopak, uszczęśliwiony, dosiada konia, jak umie, i przebywa przełęcz św. Bernarda w dwa dni po Bonapartem. Na domiar wrażenia po drodze pierwszy raz znalazł się w ogniu. Wieczorem, układając się do snu, szeptał sam do siebie słowa, które tak często miały mu wracać na usta: *To tylko tyle?*

Wejście do Mediolanu i pobyt w tym mieście wywarły na młodym Henryku wrażenie, pod którym miał zostać całe życie i które znalazło wyraz nawet na jego grobowym kamieniu. Miasto żyjące pod jarzmem

Austrii w martwocie i nudzie z radością powitało w r. 1796 młodą armię francuską, której dwudziestosześcioletni generał był najstarszym żołnierzem! Beyle, nieśmiały i skrępowany w Paryżu, tu, w tym życiu włoskim, gwarnym, naturalnym, namiętym, czuje się w swoim żywiole. Kosztuje nieco bitwy pod Marengo, rychło zostaje podporucznikiem, pierwszy pojedynek, pierwsza miłość (nieśmiała zresztą i platoniczna), słowem — pełnia życia.

Ale niedługo. Rychło znudzony obyczajami garnizonu, towarzystwem nieokrzesanych chwatów, Beyle zbyt często jak na młodego rycerzyka szuka pociechy w książkach. Wreszcie, korzystając z jakiejś niegroźnej choroby, bierze urlop, śpieszy do Paryża i zostaje tam. Od r. 1801 do 1806 pochłania go literatura: marzy o sławie, o „pisaniu komedyj jak Molier”, czyta, — pracuje nad sobą, płodzi w pocie czoła liche wiersze. Wśród tego prawie aż do końca życia stale serce jego wypełnia miłość; przedmiot jej tylko zmienia się często. W tej epoce miłość do młodej aktorki Melanii Guilbert rzuciła go aż do Marsylii, gdzie spędził rok jako subiekt czy buchalter w sklepie kolonialnym!

Wróciwszy po tej eskapadzie do Paryża, Beyle, wciąż dzięki poparciu rodziny Daru, wstępuje do intendentury (było to w przededniu kampanii pruskiej) i odtąd pozostaje w służbie aż do odwrotu z Rosji. W karierze tej doszedł do wcale znacznych godności (był audytorem w Radzie Stanu etc.), a przy tym na włóczył się sporo po świecie. Jako intendent wojskowy okazał w trudnych okolicznościach wiele energii, odznaczył się w tak ważnym zadaniu zaopatrywania armii w odwrocie spod Moskwy, w czasie którego zjawiał się u swego szefa, hr. Daru, starannie ubrany i ogolony. Ale w pełni tej heroicznej epoki Beyle znów czuje się sam i obcy, duch jego buja gdzieś daleko. W Smoleńsku marzy o Mediolanie; w Moskwie rzuca się na znaleziony angielski

egzemplarz *Pawła i Wirginii*... Znów daje mu się we znaki towarzystwo bohaterów, powabniejszych pono dla artysty w historii, w poezji niż w życiu. „Wszystko tu jest grube, brudne, cuchnące fizycznie i moralnie” pisze do siostry ze Smoleńska. — „Jedyna moja przyjemność to słuchać trochę muzyki na rozstrojonym pianinie”... Ożywia go nieco pożar Moskwy. Ale pisze: „aby się tym rozkoszować, trzeba by być samemu albo w towarzystwie ludzi cywilizowanych. Dla mnie kampanię rosyjską zepsuło to, że ją odbyłem z ludźmi, którzy potrafiliby pomniejszyć Colosseum i Zatokę Neapolitańską”...

Odwrót spod Moskwy podkopał mocno zdrowie Beyle'a: w 1813 bierze urlop i śpieszy do Włoch. Już w czasie urlopu w 1811, Beyle odnalazł swój mediolański ideał sprzed lat jedenastu (Angela Pietragrua) i nawiązał wątek przerwanej miłości, tym razem śmieiej i skuteczniej. Znalazłszy łaskawe przyjęcie, nasycony na długo heroizmem, nie chce słyszeć o niczym, co nie jest szczęściem i miłością. W miesiącu bitwy pod Lipskiem dziennik, który prowadził Stendhal, notuje jedynie drobne fakty dotyczące stosunku z Angelą!

I powrót cesarza z Elby nie zdołał wyrwać Beyle'a z jego wywczasów. Uważał snadź losy Napoleona za spełnione. Ostateczny upadek cesarstwa pogrzebał i wszystkie pomyślności Stendhala; dość wesoło przyjmując tę odmianę fortuny, osiada we Włoszech, w kraju, w którym — jak gdzieś pisze — można bez hańby być biednym. W gruncie rzeczy w tym człowieku czynu zawsze tkwił kawał *dyletanta*, smakosza wrażeń, który tłukąc się z Wielką Armią, obnosił po Europie swą żywą i inteligentną ciekawość. Obecnie rozkoszuje się włoską muzyką, zwiedza miasta, kościoły, galerie, obraca się w towarzystwie włoskich patriotów, a przede wszystkim — kocha się. Po Angeli Pietragrua, która w końcu okazała się „niegodną”, posiadała jego serce Metylda

Dembowska (z domu Viscontini), żona wiernego generała napoleońskiego. Miłość ta, bez wzajemności, bez nadziei, odpłacana najgorszą monetą, bo monetą „przyjaźni”, stanowiła przez kilka lat szczęście i udrękę Beyle'a; gwałtownie przerwana w r. 1821, stała się później natchnieniem książki *O miłości*.

W r. 1814 przypada pierwszy debiut w literaturze Stendhala, a raczej *Aleksandra Cezara Bombet*, jako że pod takim ukrył się pseudonimem. I dobrze zrobił, że się ukrył, książka jego bowiem *O Haydnie* okazała się zaczerpnięta, częściowo wręcz przełożona z *Haydinów* Carpaniego. Zrabowany autor podniósł krzyk, co dało powód do polemiki, dość przykrej dla tajemniczego Bombeta. W 1817 wydaje Beyle dwie książki: jedna to Rzym, Neapol i Florencja (pierwszy raz podpisana godłem de Stendhal, oficer kawalerii); druga to *Historia malarstwa we Włoszech*. Pierwszy utwór to opis podróży przeplatający drobiazgowo opisy uwagami i anegdotami, w których autor wciąż snuje paralelę między Włochami a Francją na niekorzyść swej ojczyzny. *Historia malarstwa* ujawnia niezwykłą na owe czasy znajomość i odczucie włoskiego Odrodzenia; najbardziej jednak zajmującym rysem jest tu dedykacja, ofiarująca to dzieło. *J. Ces. Mości Napoleonowi Wielkiemu*, a zakończona tak:

„Oby, Najjaśniejszy Panie, niebo dało ci tyle życia, abyś mógł oglądać Francję szczęśliwą dzięki konstytucji, którą przekazał jej ostatni twój parlament. Wówczas, Najjaśniejszy Panie, przebaczy ci ona jedyny akt słabości, który ci może wyrzucać: to iż po Waterloo nie chwyciłeś w rękę dyktatury i zwątpiłeś o ratunku ojczyzny.

Wówczas potomność, odzyskawszy bezstronność spojrzenia, będzie się

wahała jedynie, czy ma pomieścić twoje imię obok czy ponad imieniem Aleksandra, a twoi nędzni wrogowie będą znani światu jedynie dzięki temu, iż mieli szczęście być twymi wrogami.

Pozostaję, Najjaśniejszy Panie,
z najgłębszym uszanowaniem
Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości:
bardzo uniżonym i powolnym sługą
i poddanym, w swoim sercu,
żołnierzem, którego ująłeś za klapę surduta pod Görlitz”.

Dedykacja ta w 1817, w zaraniu Restauracji, kiedy nazwiska *Buonapartego* nie wymawiało się niemal bez akompaniamentu zniewag, była niewątpliwie aktem odwagi i charakteru. Zresztą, obie książki przeszły dość niespostrzeżenie.

W r. 1821 Beyle traci ojca; śmierć ta zostawia go dość obojętnym; łączy się z nią zawód majątkowy: ojciec, który uchodził za zamożnego człowieka, okazał się niemal zrujnowany. Równocześnie spotyka pisarza drugi cios: policja austriacka, nierada jego stosunkom z patriotami włoskimi, wyprasza go z Mediolanu. Zostawiając serce i duszę we Włoszech przy ukochanej Metyldzie, Stendhal wraca do Paryża, którego nie lubił i gdzie nie znał prawie nikogo. W Paryżu zostanie aż do rewolucji lipcowej (1830), przerywając ten pobyt jedynie paru wycieczkami do Anglii.

Stendhal, jak większość rozbitków napoleońskich, zbliża się z liberałami; wchodzi w dom Destutta de Tracy, filozofa i pisarza, którego z dawna uwielbiał; poznaje Lafayette'a, Beniamina Constant i in. Miesza się w pierwsze utarczki romantyków i klasyków, i w broszurze swojej *Racine a Szekspir* (1823) rzuca głośną definicję: „Literatura klasyczna, to ta, która dawała największą sumę przyjemności naszym pradziadom; literatura romantyczna, to ta, która daje największą sumę przyjemności nam”. Mimo to Stendhal niewiele miał powinowactwa z budzącym się ruchem *romantycznym* we Francji; i tu, jak całe życie, pozostaje on odosobniony: a odrębność ta, która nie pozwoliła mu kosztować pełni uznania za życia, uczyniła go tym cenniejszym okazem dla potomnych.

Trudno o dosadniejszy przykład, jak niebezpiecznie jest w czasie masowych ruchów myśli chodzić oddzielnymi drogami. Aby zwyciężyć, trzeba by mieć wytrwałość i upór Balzaca, a tych Stendhal, traktujący literaturę niejako na marginesie życia, nie posiadał. W 1822 wydaje książkę swoją *O miłości*: od 1822 do 1833, czyli przez jedenaście lat, sprzedano siedemnaście egzemplarzy! Stendhal czuje to odosobnienie i tym bardziej zasklepia się w niechęci do epoki. W r. 1824 wydaje *Życie Rossiniego*, w 1829 *Przechadzki po Rzymie* oraz *Armance czyli sceny paryskie* z 1827.

Rewolucja lipcowa. Stendhal wita ją z sympatią, ale nie biorąc czynnego udziału; noc 29 lipca spędza u kochanki, „aby czuwać nad jej bezpieczeństwem”. Zwycięstwo Orleanów jest zarazem odwetem bonapartystów. Odczuwa to Stendhal, gdyż otrzymuje zaraz stanowisko konsula w Trieście, gdzie się nudzi, marznie i gdzie, na szczęście, Austria go sobie nie życzy, pomawiając go o karbonaryzm. Przed

wyjazdem z Paryża, zostawia pod prasą rękopis powieści *Czerwone i czarne*, która wychodzi z druku podczas jego nieobecności, bez powodzenia jak zwykle.

Odwołany z Triestu obejmuje stanowisko konsula w Civita Vecchia, miejscowości, która, gdyby nie bliskość Rzymu, byłaby dlań prawdziwym wygnaniem. Ale i tak, niewesoły jest ten schyłek życia Stendhala. Samotny, starzejący się, silący się tu i ówdzie wskrzesić wzruszenia, których czas minął, stara się stworzyć w sobie filozoficzną równowagę, kreśląc wspomnienia młodości. Poza tym wydaje *Pamiętniki turysty* oraz powieść, *Pustelnię parmeńską* (1839), która daje mu poznać smak triumfu literackiego w postaci entuzjastycznego artykułu Balzaca w „Revue de Paris”. Umiera w r. 1842, licząc lat pięćdziesiąt dziewięć, rażony apopleksją; spoczywa na Montmartre. W ostatnich latach, oburzony *pokojem za każdą cenę*, który był dążeniem Ludwika Filipa, oświadczył, iż nie chce mienić się Francuzem; gorzki ten nastrój jak niemniej pamięć szczęśliwych chwil przeżytych w Mediolanie wyraziły się w nagrobku, który sobie sam ułożył:

ARIGO BEYLE

MILANESE

visse, serisse, amo

quant'anima

adorava

Cimarosa, Mozart e Shakespeare

Oto życie Stendhala. A charakter? Niełatwy do określenia. Postać Juliana (*Czerwone i czarne*) niejedno objaśni, byle jej oczywiście nie utożsamiać z autorem. Zdaje się, że wrażenia dziecińne duży miały wpływ na dalszy rozwój. Natura wrażliwa, czuła, gorąca, zdławiona nieprzyjazną atmosferą, przyuczyła się wkładać maskę, kryć swoje najlepsze strony; toteż wciąż spotykamy u niego nieśmiałość pod ironią i brutalnością, sentymentalizm pod pozorami don Juana. Przy tym nieufność, podejrzliwość, ostrożność, które rozwiną się w manię. Wzrosły w epoce porewolucyjnego zdziczenia moralnego, Stendhal ma w pojęciach swoich zupełną prawie amoralność i niespołeczność; podobny w sferze myśli do tych kondotierów napoleońskich, których maluje Balzac, zachowa jako jedyną busolę *punkt honoru* i ten *kult energii*, który tamci mieli instynktownie, a który on ma świadomie. Ów kult energii znajdzie wyraz w uwielbieniu dla Napoleona oraz w rozkoszowaniu się historią Włoch z epoki Odrodzenia. Tę stronę natury Stendhala łagodzi — nie sprzeciwiając się jej zresztą — szczerą wrażliwość artystyczną, dająca mu w muzyce, zwłaszcza łatwej muzyce włoskiej, kosztować słodczy niemal zmysłowych; natomiast w ciągłej wojnie z żywiołowością charakteru jest rozwinięty zmysł analizy, zdolność i nawyk kontrolowania, uświadamiania sobie uczuć. Stąd naturę Stendhala wypełnia raczej apostołstwo namiętności jako stanu dającego pełnię życia niżeli sama namiętność, którą poraża jasnowidzenie inteligencji. Gra tych sprzeczności daje Stendhalowi ciekawą i złożoną fizjonomię.

Jako umysłowość Stendhal tkwi korzeniami głęboko w XVIII wieku: racjonalizm Woltera i encyklopedystów, ateizm lubujący się w koncepcjach *à la* Chamfort na temat Boga, nienawiść do prawdziwych i mitycznych *jezuitów* dochodząca manii, oto cechy Stendhala, w których również dałoby się odnaleźć wpływy działające nań — pozytywnie lub

negatywnie — w dzieciństwie. Celem człowieka jest szczęście, tzn. możliwie największa suma rozkoszy, wrażeń: oto zasada filozofii, którą on sam nazywał *beylizmem*. Ale poprzez te racjonalistyczne koncepcje czuć wiew romantycznego szaleństwa na zimno, które Stendhala broni od oschłości. Cóż wedle *beylizmu* może dać największą sumę wrażeń? Namiętność, choćby przyszło dla niej zaważyć życie, choćby bezcelowa, niedorzeczna. Ta apologia namiętności, tak oddalająca Stendhala od osiemnastowiecznych filozofów, z którymi ma tak bliski punkt wyjścia, świadczy, iż między XVIII wiekiem a nim był — Napoleon.

Ciekawy jest stosunek Stendhala do Napoleona. Zrazu, po 11 *brumaire*, jak przystało na młodego republikanina, widzi w nim tyrana, który „skradł ludowi wolność”. Nie przeszkadza mu to zresztą iść za gwiazdą napoleońską; zachowanie się jego jednak w latach próby, w r. 1813, 14, 15, nie świadczyłyby o fanatyzmie... Nie było w nim materiału na jednego z Heinowskich „dwóch grenadierów”. Ten inteligentny amator wrażeń oglądał epopeję napoleońską zaledwie z bliska, od strony kulis. Dopiero później obraz Napoleona i jego dzieje, oglądane z dalszej perspektywy, opromienione wspomnieniem własnej młodości Stendhala, stanęły dlań przedmiotem trwałego uwielbienia.

Stendhal był, jak powiedzieliśmy, zjawiskiem odosobnionym. W epoce przełomu i potężnych prądów duchowych nie mieszał się z nikim, nie należał do żadnego obozu, był sobą. I nie mogło być inaczej; wszak i jego bieg życia odległy był, jak widzieliśmy, od utartych dróg literackich. Nie jest pisarzem-zawodowcem; patrzy na życie bezpośrednio, nie przez pryzmat kałamarza. Przy tym znaczną część życia spędza poza Francją; jak na francuskiego literata, dla którego często świat zamyka się w Paryżu, to zjawisko niezwykle. Gdy romantycy opiewają Andaluzjki i odalisy, siedząc u Tortoniego na

bulwarach, on żyje bujnym życiem cyganerii wojskowej albo leniwym życiem Włoch, wypełniony wrażeniami: wrażeniami oczu, uszu i serca. I przez niego przepływa romantyczny prąd epoki, ale jakiś przetworzony. Stendhal, który we wszystkim jest przeciwnym biegunem Chateaubrianda, pod tym względem spotyka się z nim: każdy z nich na inny sposób przyczynił się do rozszerzenia horyzontu; obaj są wielkimi *globtroterami*, wybiegającymi myślą i uczuciem poza horyzont Francji. I zarazem, przy całej duchowej antypatii Stendhala do Chateaubrianda, możemy wszakże połączyć ich jednym nazwiskiem, aby zrozumieć, jak kręte drogi żłobi sobie bieg Romantyzmu. Nazwisko to, to Byron, który tyle czerpie z Chateaubrianda, a dla którego znowuż Stendhal ma tak gorące uwielbienie.

[...]

Jedną z przyczyn, dla której lekceważono Stendhala w epoce Romantyzmu, a uwielbiano pod koniec XIX wieku, jest jego *styl*. *Styl ten* w istocie szczególnie odbija od szumnej poetyckiej prozy Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Gautiera, Musseta. Te krótkie, rzeczowe zdańka silą się ściśle notować fakty, uczucia; unikają — aż do przesady — ornamentu, wielkich słów. Zauważmy: wszystkie najważniejsze zdarzenia, oddanie się pani de Rênal a potem Matyldy, pojedynek Juliana, ciąża Matyldy, zabójstwo pani de Rênal, wreszcie sama śmierć Juliana, zaznaczone są krótkimi zdaniami jakby mimochodem. Stendhal mawiał, iż pisząc powieść, odczytuje po parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania tonu. Bądź co bądź i on nie uniknął nieraz konwencjonalnej przesady, i przesada ta przy pozorach oschłości tym bardziej uderza. I stylem tym styka się Stendhal z wiekiem XVIII; może

najbliżej z powiastkami Woltera? Jednakże od czasu do czasu, gdy zechce, Stendhal umie za pomocą paru słów dać wizję głębiej zapadającą w duszę od wielu bogatych opisów.

Tadeusz Boy-Żeleński

Foto: FoKa / Forum